Nie ma nas w regulaminie

Zasady są jasne. Pragnienia znacznie mniej



Laura Bellini

Nie ma nas w regulaminie

Zasady są jasne. Pragnienia znacznie mniej

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903483

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Cena wyjątku 12
Rozdział 2 - Godzina bez obowiązków 23
Rozdział 3 - Między wierszami 37
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie wpisuje się do kalendarza 49
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 63
Rozdział 6 - Pierwszy krok 76
Rozdział 7 - To, czego nie powiedziałeś 90
Rozdział 8 - Poza światłem reflektorów 103
Rozdział 9 - Ryzyko, które wybieramy 115
Rozdział 10 - Bez bezpiecznej odległości 128
Rozdział 11 - Poranek bez zbroi 141
Rozdział 12 - Obietnica bez podpisu 153
Rozdział 13 - Cena lojalności 166
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze brakuje 179
Rozdział 15 - Słowa, których nie można cofnąć 192
Rozdział 16 - Odległość między nami 205
Rozdział 17 - Własnym głosem 216
Rozdział 18 - To, co naprawdę kosztuje 227
Rozdział 19 - Wynik, którego nie wybieramy 239
Rozdział 20 - Poza regulaminem 250

INTRO

W regulaminach najbardziej lubiłam to, że nie musiały nikogo kochać.

Mogły być surowe, bezwzględne, czasem nawet niesprawiedliwe, ale przynajmniej nie udawały, że kierują się uczuciami. Paragraf trzeci nie zmieniał zdania pod wpływem pięknych oczu, a punkt siódmy nie obiecywał czegoś, czego nie zamierzał dotrzymać. Ludzie byli pod tym względem znacznie mniej przewidywalni.

Tego piątkowego popołudnia, stojąc w foyer lubelskiego Centrum Spotkania Kultur, miałam jednak ochotę udusić człowieka, który napisał regulamin naboru na rezydencje literackie.

Najlepiej wydrukowanym egzemplarzem jego własnego dzieła.

— To jest niemożliwe — powiedziałam do telefonu, po raz trzeci czytając ten sam fragment.

— Wiem — odpowiedziała Marta, moja przyjaciółka i jedyna osoba, której pozwalałam dzwonić do mnie podczas pracy. — Dlatego właśnie powinnaś przestać to czytać.

— W punkcie czwartym napisali, że zgłoszenia przyjmowane są do trzydziestego czerwca, a w punkcie dziewiątym, że lista zakwalifikowanych zostanie opublikowana dwudziestego ósmego.

— Może mają dostęp do przyszłości.

— A w załączniku jest jeszcze inna data.

— Melania, miałaś dzisiaj skończyć o szesnastej.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła siedemnasta.

Marta miała rację. Oczywiście, że miała. Od trzech miesięcy pracowałam nad zmianą własnego życia, a konkretnie nad tym, żeby moja praca przestała być całym moim życiem. Zrezygnowałam ze stałego etatu w warszawskiej agencji, zarejestrowałam działalność i zaczęłam budować niezależną markę redaktorki dokumentów konkursowych. Chciałam sama wybierać klientów, ustalać godziny i nie odbierać telefonów od ludzi przekonanych, że słowo „pilne" zwalnia ich z odpowiedzialności.

Na poniedziałek miałam zaplanowane ważne spotkanie z fundacją, która mogła zapewnić mi kilka miesięcy stabilnej współpracy. Weekend zamierzałam poświęcić na przygotowanie oferty, a nie na ratowanie cudzych niedopatrzeń.

— Wychodzę za dziesięć minut — obiecałam.

— To samo mówiłaś pół godziny temu.

— Tym razem naprawdę.

Rozłączyłam się i wsunęłam telefon do kieszeni marynarki.

Foyer powoli pustoszało po ostatnim panelu festiwalowym. Zapach kawy mieszał się z wonią świeżo drukowanych programów, a przez wysokie przeszklenia wpadało ciepłe światło późnego popołudnia. Przy stolikach siedzieli jeszcze pojedynczy uczestnicy, zajęci rozmowami o literaturze, którą prawdopodobnie traktowali znacznie mniej osobiście niż ja regulaminy.

Zamknęłam laptop.

Wtedy usłyszałam:

— Pani Okoń?

Odwróciłam się.

Mężczyzna stał kilka kroków ode mnie, trzymając w jednej dłoni telefon, a w drugiej zmięty program festiwalu. Miał ciemne włosy, lekko podwinięte rękawy błękitnej koszuli i wygląd człowieka, który od rana rozwiązywał problemy, na które inni nie mieli nawet ochoty patrzeć.

Nie był przesadnie elegancki. Był za to irytująco pewny swojej obecności.

— Zależy, kto pyta — odpowiedziałam.

Uśmiechnął się, lecz zamiast wygłosić jeden z tych gładkich komplementów, od których zwykle zaczynały się niepotrzebne znajomości, powiedział:

— Patryk Jeż. Odpowiadam za organizację festiwalu. Podobno znalazła pani w naszym naborze kilka błędów.

— Kilka?

Zerknął na laptop.

— Rozumiem, że to niedoszacowanie.

— Powiedziałabym raczej, że regulamin jest jednym wielkim błędem, w którym przypadkiem znalazło się kilka poprawnych zdań.

Zaśmiał się cicho.

Nie był to śmiech człowieka obrażonego krytyką. Raczej kogoś, kto właśnie usłyszał coś, co od dawna podejrzewał.

— Doceniam szczerość.

— Proszę się do niej nie przyzwyczajać. Dzisiaj miała być bezpłatna tylko pierwsza konsultacja.

— A druga?

— Zależy od stopnia katastrofy.

Patryk odłożył program na stolik i wsunął telefon do kieszeni. Dopiero wtedy zauważyłam zmęczenie pod jego oczami. Miał może trzydzieści osiem lat, a sposób, w jaki patrzył na ludzi, sugerował, że nauczył się dostrzegać więcej, niż mówili.

— Czy może mi pani pokazać najpoważniejszy problem? — zapytał.

Powinnam była odmówić.

Zamiast tego otworzyłam laptop.

— Proszę spojrzeć. Regulamin dopuszcza wszystkich pełnoletnich autorów, ale formularz wymaga udokumentowania co najmniej dwóch publikacji książkowych. Nie wiadomo też, czy rezydencja obejmuje wynagrodzenie, zakwaterowanie, czy jedno i drugie. Do tego nie określili państwo, kto ocenia zgłoszenia ani według jakich kryteriów.

Patryk nachylił się nad ekranem.

Poczułam delikatny zapach jego wody kolońskiej, coś pomiędzy cedrem a gorzką pomarańczą. Nie odsunęłam się od razu, co było pierwszą nieprofesjonalną decyzją tego dnia.

— To miało być proste — powiedział.

— Zwykle najwięcej problemów sprawiają rzeczy, które miały być proste.

— A pani zawsze mówi klientom, że wszystko zrobili źle?

— Tylko wtedy, kiedy wszystko zrobili źle.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem, ale po chwili jego twarz spoważniała.

— Nabór został już ogłoszony. Dostaliśmy kilkadziesiąt zgłoszeń. Partnerzy oczekują wyników, a autorzy pytają o kryteria, których nie potrafimy im wskazać. Musimy to naprawić.

To ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej niż wcześniejsze. Bez uśmiechu, bez prób rozładowania sytuacji.

Po raz pierwszy zobaczyłam w nim kogoś więcej niż kolejnego organizatora, który liczył, że specjalistka posprząta po nim bałagan.

— Muszą państwo również zastanowić się nad unieważnieniem obecnego naboru — powiedziałam. — Albo przynajmniej wstrzymaniem oceny do czasu ustalenia zgodnej z prawem i uczciwej procedury.

Patryk wyprostował się.

— Unieważnienie nie wchodzi w grę.

— To nie jest kwestia upodobań.

— Dla pani być może nie.

To powinno mnie zdenerwować. Zamiast tego zaintrygowało mnie, dlaczego człowiek, który przed chwilą potrafił przyjąć ostrą krytykę, nagle postawił tak twardą granicę.

— Komuś obiecał pan, że ten nabór się odbędzie? — zapytałam.

Przez krótką chwilę milczał.

— Wielu osobom.

Nie było to kłamstwo. Ale nie brzmiało też jak cała prawda.

Zerknęłam na jego telefon, gdy ekran rozświetlił się od przychodzącej wiadomości. Zobaczyłam tylko fragment powiadomienia: „Kuba: Rozumiem, że wszystko aktualne…".

Patryk odwrócił aparat ekranem do dołu.

Nie skomentowałam tego. Nie miałam prawa zaglądać w jego korespondencję, a jedno niedokończone zdanie nie stanowiło dowodu na nic.

— Mam dla pana propozycję — powiedziałam. — Wyślę do poniedziałku ocenę ryzyka i zakres koniecznych zmian. Potem zdecydujemy, czy mogę przyjąć zlecenie. Ale jeżeli oczekuje pan, że dopasuję zasady do wcześniej wybranego wyniku, proszę od razu poszukać kogoś innego.

Przyglądał mi się dłużej, niż wymagała tego zwykła rozmowa zawodowa.

— Wie pani, co jest w pani najbardziej niebezpieczne?

— Nie znamy się wystarczająco dobrze, żeby mógł pan to oceniać.

— Właśnie dlatego pytam siebie, dlaczego mam ochotę spróbować.

Zamknęłam laptop nieco zbyt energicznie.

Patryk uśmiechnął się, ale tym razem nie wykorzystał mojego zakłopotania. Cofnął się o pół kroku, zostawiając mi przestrzeń.

— Nie będę pani zatrzymywał — powiedział. — Proszę przesłać wycenę. Zapłacimy za analizę niezależnie od tego, czy zdecyduje się pani prowadzić dalszą pracę.

To było rozsądne. Profesjonalne. Dokładnie takie, jakiego oczekiwałam od potencjalnego klienta.

Dlaczego więc poczułam rozczarowanie, że już odchodził?

Wzięłam torbę i ruszyłam w stronę wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał mnie jeszcze jego głos.

— Melanio?

Odwróciłam się zaskoczona brakiem oficjalnego tonu.

— Tak?

— A gdybyśmy spotkali się tutaj jutro? Bez laptopa. Chciałbym pani pokazać, dlaczego tak bardzo zależy mi na tych rezydencjach.

Za jego plecami gasły kolejne światła foyer. Mógł po prostu wysłać mi dokumenty, zaprosić na formalne zebranie albo zadzwonić w poniedziałek. Zamiast tego stał przede mną i czekał, nie próbując ukryć, że proponował coś bardziej osobistego niż przegląd zapisów konkursowych.

— Jutro mam własne plany — odpowiedziałam.

— Rozumiem.

Nie nalegał.

I właśnie to sprawiło, że po kilku sekundach dodałam:

— Ale o osiemnastej mogę znaleźć godzinę.

Uśmiechnął się powoli.

— W takim razie do jutra.

Wyszłam na plac przed budynkiem. Wieczorne powietrze było ciepłe, a miasto pachniało deszczem, który jeszcze nie spadł. Telefon zawibrował w mojej dłoni. Marta pytała, czy wreszcie odzyskałam rozsądek.

Spojrzałam przez szklane drzwi.

Patryk nadal stał w foyer, rozmawiając z kimś przez telefon. Tym razem nie wyglądał na rozbawionego. Przesunął dłonią po karku, po czym spojrzał w stronę wyjścia. Nasze spojrzenia spotkały się przez szybę.

Nie odwróciłam wzroku.

Miałam trzydzieści trzy lata, własną firmę, dokładnie zaplanowany weekend i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, kiedy ktoś może skomplikować mi życie.

Dlaczego więc najbardziej ze wszystkiego chciałam, żeby jutro spojrzał na mnie tak samo?

Rozdział 1 - Cena wyjątku

W sobotę o ósmej siedemnaście dostałam wiadomość od Patryka Jeża.

„Dzień dobry. Nie chcę psuć pani weekendu, ale sytuacja z naborem zrobiła się bardziej skomplikowana. Czy możemy porozmawiać przed wieczorem?”

Patrzyłam na ekran telefonu, stojąc w kuchni wynajmowanego mieszkania przy ulicy Narutowicza. Za oknem Lublin dopiero się budził. Po nocnym deszczu chodniki błyszczały, a moja kawa stygła obok rozłożonych materiałów na poniedziałkowe spotkanie z fundacją.

Miałam już odpowiedzieć, że sobota nie jest dniem roboczym, kiedy przyszła druga wiadomość.

„Właściwie nie. Przepraszam. Umówiliśmy się na osiemnastą. Uszanuję to.”

Przeczytałam ją dwukrotnie.

Nieczęsto spotykałam ludzi, którzy potrafili sami wycofać niewłaściwą prośbę, zanim zdążyłam powiedzieć „nie”. Jeszcze rzadziej byli to mężczyźni przyzwyczajeni do zarządzania dużymi wydarzeniami.

Odpisałam: „Dziękuję. O osiemnastej będę punktualnie”.

Odłożyłam telefon, ale przez następnych kilka minut nie mogłam skupić się na prezentacji.

Moja przyjaciółka Marta twierdziła, że mam słabość do mężczyzn, którzy przypominają skomplikowane umowy. Im więcej zastrzeżeń, tym większą odczuwam potrzebę ich zrozumienia. Zazwyczaj odpowiadałam, że nie interesują mnie mężczyźni wymagający interpretacji prawnej.

Patryk zaczynał wystawiać tę deklarację na próbę.

O dziewiątej zadzwoniła moja potencjalna klientka, przedstawicielka warszawskiej Fundacji Nowe Głosy. Chciała potwierdzić poniedziałkowe spotkanie i upewnić się, że nadal jestem zainteresowana przygotowaniem jednolitych zasad dla ich programu stypendialnego.

— Jak najbardziej — zapewniłam. — Mam już wstępną koncepcję.

— Zależy nam na kimś, kto potrafi powiedzieć, kiedy nasze pomysły są złe — powiedziała pani Elżbieta.

Uśmiechnęłam się.

— W takim razie prawdopodobnie się dogadamy.

Kiedy zakończyłyśmy rozmowę, spojrzałam na otwarty kalendarz. Fundacja mogła stać się moim najważniejszym klientem. Oznaczała regularne przychody i możliwość pracy na własnych warunkach, dokładnie to, dla czego trzy miesiące wcześniej odeszłam z agencji.

Lublin miał być krótkim zleceniem konsultacyjnym, a nie początkiem kolejnego zawodowego poświęcenia.

Postanowiłam więc, że wieczorem przedstawię Patrykowi jasne warunki i nie pozwolę, żeby jego uśmiech skomplikował sprawę.

Osiem godzin później stałam w niewielkiej sali konferencyjnej za festiwalowym foyer, zastanawiając się, dlaczego przygotowanie do rozmowy nie obejmowało sposobu ignorowania mężczyzny, który wyglądał wyjątkowo dobrze z podwiniętymi rękawami.

Patryk przywitał mnie przy drzwiach.

— Dziękuję, że przyszłaś.

Zauważyłam zmianę formy, ale nie zaprotestowałam.

— Obiecałam godzinę. Jeszcze nie zdecydowałam, czy ją wykorzystasz rozsądnie.

— Postaram się.

Na stole czekały dwie szklanki wody, dzbanek herbaty i wydrukowane dokumenty. Nie było laptopa. Dopiero po chwili zauważyłam stojące pod ścianą pudełka z książkami oraz planszę przedstawiającą projekty poprzednich uczestników festiwalu.

— Miałeś mi pokazać, dlaczego zależy ci na rezydencjach — przypomniałam.

— Nadal chcę. Ale najpierw muszę powiedzieć, że dzisiaj rano dostaliśmy kolejne sześć zgłoszeń. Niektóre od debiutantów, którzy nie mają dwóch książek.

— Czyli od osób, które według ogłoszenia mają prawo aplikować, a według formularza już nie.

— Tak.

— W takim razie nie możemy dłużej udawać, że problem jest kosmetyczny.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Patryk przesunął w moją stronę zestawienie zgłoszeń. Nazwiska zostały zastąpione numerami, co uznałam za dobry znak.

— Przygotowała je nasza koordynatorka, Iga — wyjaśnił. — Nie chciałem, żebyś od razu pracowała na danych osobowych.

— Rozsądnie.

— Zapiszę sobie. Pierwszy komplement od pani Okoń.

— Nie przyzwyczajaj się.

Uśmiechnął się, po czym pochylił nad zestawieniem.

Podczas następnych dwudziestu minut wykazaliśmy, że błędny regulamin wpływał nie tylko na terminy, lecz także na samą ocenę. Organizatorzy zapowiadali otwarty konkurs dla nowych autorów, formularz wymagał dorobku wydawniczego, a umowa partnerska przewidywała wybór dwóch rezydentów przed końcem miesiąca.

Patryk chciał uratować termin i zobowiązania wobec sponsorów.

Ja chciałam przede wszystkim zagwarantować, że nikt nie zostanie oceniony według zasad, których wcześniej nie znał.

— Możemy opublikować sprostowanie — zaproponował. — Dać ludziom dodatkowe trzy dni.

— Trzy dni na co? Na napisanie dwóch książek?

Roześmiał się, choć tym razem bez większej radości.

— Na uzupełnienie zgłoszenia.

— Jeżeli ten wymóg zostaje, wykluczasz debiutantów. Jeżeli go usuwasz, musisz dać szansę również tym, którzy nie aplikowali, ponieważ zobaczyli go wcześniej.

— Ile czasu potrzebujemy?

— Najpierw potrzebujemy decyzji, co właściwie obiecano kandydatom. Potem nowej procedury, zatwierdzenia jej przez organizatora i rzetelnej informacji dla wszystkich zainteresowanych.

Przetarł twarz dłonią.

— Mamy zobowiązania wobec partnerów. Termin zakończenia programu jest wpisany do umów.

— Rozumiem. Ale nie mogę stworzyć dokumentu, który tylko będzie wyglądał uczciwie.

Podniósł wzrok.

— A ja nie mogę pozwolić, żeby festiwal stracił finansowanie.

Wreszcie przestaliśmy rozmawiać uprzejmie.

Wstałam i podeszłam do planszy przedstawiającej wcześniejsze edycje. Widniały na niej fotografie młodych autorów, fragmenty tekstów i krótkie wypowiedzi o tym, co dała im możliwość pracy w spokojnym miejscu.

— Czy naprawdę wierzysz, że ci ludzie woleliby szybki konkurs od sprawiedliwego? — zapytałam.

Patryk podszedł bliżej, ale zatrzymał się w pewnej odległości.

— Wierzę, że większość z nich potrzebowała szansy wtedy, kiedy ją dostała. Nie po półrocznym sporze o dokumenty.

Odwróciłam głowę.

— Nie proponuję pół roku.

— A ja nie proponuję oszustwa.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Dostrzegłam, że zaciska szczękę, choć głos nadal miał spokojny. Zależało mu bardziej, niż chciał pokazać. Problem nie polegał na tym, że nie rozumiał moich argumentów. Rozumiał je doskonale, a mimo to nie potrafił porzucić własnego celu.

— W takim razie spróbujmy inaczej — powiedziałam. — Nie musisz teraz wybierać między odwołaniem całego programu a udawaniem, że regulamin jest poprawny. Możemy przygotować warianty i pokazać partnerom konsekwencje każdego z nich.

— Jakie warianty?

Wróciliśmy do stołu. Na czystej kartce rozpisałam trzy możliwości: wznowienie naboru na poprawionych zasadach, ponowne otwarcie zgłoszeń z odpowiednio długim terminem albo unieważnienie procedury i rozpisanie nowego konkursu. Przy każdej wypisaliśmy ryzyko, koszt i warunki organizacyjne.

Patryk nie próbował już skracać rozmowy. Zadawał konkretne pytania, przyznawał, kiedy nie znał odpowiedzi, i notował wszystko własnym charakterem pisma, nierównym i zaskakująco drobnym.

— Jeśli przedłużymy nabór o dwa tygodnie, możemy jeszcze zdążyć z oceną — powiedział w końcu.

— Pod warunkiem, że powołacie niezależną komisję i nie będziecie zmieniać kryteriów po zamknięciu zgłoszeń.

Zawahał się.

— A gdyby była osoba, której zgłoszenie wymagałoby szczególnego potraktowania?

Odłożyłam długopis.

— Co to znaczy „szczególnego”?

— Na przykład ktoś z nietypowym dorobkiem. Z wartościowym projektem, który nie mieści się idealnie w formularzu.

— W takim razie zasady muszą umożliwiać ocenę takich projektów wszystkim, nie jednej osobie.

— Nawet jeśli ta osoba naprawdę zasługuje na szansę?

— Szczególnie wtedy.

Milczał przez moment, obracając długopis między palcami.

— Jesteś trudną negocjatorką.

— Nie negocjuję tego, czy zasady mają obowiązywać wszystkich.

Patryk spojrzał na mnie z czymś, co mogło być uznaniem albo frustracją.

— Wiem już, dlaczego ktoś polecił mi właśnie ciebie.

— Kto?

— Nasza prawniczka. Powiedziała, że potrafisz odmówić nawet człowiekowi, który płaci ci za zgodę.

— To nie jest dobra reklama moich usług.

— Dla mnie coraz lepsza.

Nie odpowiedziałam.

Przez otwarte drzwi dobiegł nas głos pracownicy technicznej, która szukała Patryka. Wyszedł na kilka minut, zostawiając mnie przy dokumentach. Zajęłam się analizą tabeli terminów i zauważyłam coś jeszcze: projekt harmonogramu przewidywał wstępną rozmowę z jednym z kandydatów na długo przed zakończeniem przyjmowania zgłoszeń.

Nie było nazwiska. Tylko dopisek „konsultacja autorska — K.".

Mogło to oznaczać wiele rzeczy, również zwykłe wydarzenie festiwalowe. Zaznaczyłam w swoim notesie pytanie o zakres takich konsultacji.

Kiedy Patryk wrócił, wyglądał na bardziej zmęczonego.

— Przepraszam. Awaria nagłośnienia w jednej z sal.

— Życie organizatora festiwalu wygląda wyjątkowo romantycznie.

— Mogę pokazać ci jeszcze harmonogram wymiany identyfikatorów i protokół zgubionych mikrofonów.

— Oszczędź mi emocji.

Uśmiechnął się, a potem spojrzał na zegarek.

— Przekroczyliśmy godzinę.

Było już po dziewiętnastej trzydzieści.

— Rzeczywiście.

— Powinienem przeprosić.

— Powinieneś zapłacić za dodatkowy czas.

— Z przyjemnością.

Tym razem roześmiałam się szczerze.

Nie byłam przyzwyczajona do mężczyzn, którzy traktowali moją pracę poważnie, nie rezygnując przy tym z prób rozbawienia mnie. Patryk nie wydawał się onieśmielony moją stanowczością. Był nią zainteresowany.

Ta różnica miała znaczenie.

Spakowałam dokumenty, świadoma, że powinnam zakończyć spotkanie, zanim zacznę szukać kolejnych powodów, żeby zostać.

— Przygotuję wstępną ofertę — powiedziałam. — Ale musisz wiedzieć, że w poniedziałek mam ważne spotkanie z innym klientem. Jeśli podejmę się tego projektu, nie będę dostępna przez całą dobę.

— Nie oczekuję tego.

— Ani nie przełożę własnych zobowiązań tylko dlatego, że u was zrobiło się pilnie.

— Rozumiem.

— I jeszcze jedno. Nie podpiszę się pod procedurą, która ma zatwierdzić z góry ustaloną decyzję.

Tym razem nie odpowiedział od razu.

— Chcę, żeby ten program przetrwał — powiedział w końcu.

— Ja też mogę tego chcieć. Ale musimy uczciwie ustalić, jakim kosztem.

Podszedł do drzwi i otworzył je przede mną.

— Melania, czy mogę powiedzieć coś, co nie dotyczy regulaminu?

Zatrzymałam się.

— Możesz.

— Podoba mi się sposób, w jaki nie próbujesz być miła kosztem tego, co naprawdę myślisz.

Nie byłam przygotowana na taką odpowiedź. Zwłaszcza wypowiedzianą spokojnie, bez uśmiechu mającego zamienić szczerość w żart.

— To dość ryzykowna cecha u współpracowniczki — odparłam.

— Możliwe.

— I nie zawsze wygodna.

— Tego już zdążyłem doświadczyć.

Patrzyliśmy na siebie przez krótką chwilę. W pustym korytarzu słyszałam odległe kroki i szum wentylacji. Patryk nie zbliżył się ani nie próbował przedłużyć rozmowy gestem. Pozwolił, żeby cisza pozostała między nami.

To ja pierwsza odwróciłam wzrok.

Przed wyjściem wręczył mi cienką książkę z fotografią starego lubelskiego podwórka na okładce.

— To zbiór opowiadań jednej z naszych dawnych rezydentek — wyjaśnił. — Jeśli chcesz zrozumieć, dlaczego tak walczę o ten program, przeczytaj pierwsze opowiadanie.

— Przekupstwo literaturą?

— Raczej materiał dowodowy.

Przyjęłam książkę.

— Nie obiecuję, że zmienię zdanie.

— Nie o to proszę.

Na zewnątrz zapadł już wieczór. Szłam w stronę centrum, czując w torbie ciężar dokumentów i cienkiego tomu, który nie powinien znaczyć więcej niż zwykły upominek.

Przy Krakowskim Przedmieściu zatrzymałam się pod latarnią i otworzyłam książkę. Na pierwszej stronie znajdowała się dedykacja autorki dla organizatorów festiwalu.

„Za to, że potraktowaliście moją historię poważnie, zanim ktokolwiek inny zechciał ją przeczytać".

Przesunęłam palcem po tych słowach.

Zrozumiałam wtedy, dlaczego Patryk tak stanowczo bronił rezydencji.

Nie rozumiałam natomiast, dlaczego równie stanowczo nie chciał przyjąć rozwiązania, które mogłoby je uratować bez narażania uczciwości konkursu.

Wyjęłam telefon i napisałam do niego wiadomość.

„Przeczytam. Ale w poniedziałek potrzebuję pełnego harmonogramu, także informacji o indywidualnych konsultacjach z kandydatami".

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

„Dostaniesz wszystko, co będzie potrzebne do rzetelnej oceny".

Zwróciłam uwagę na dobór słów.

Wszystko, co będzie potrzebne.

Nie po prostu wszystko.

Schowałam telefon i ruszyłam dalej, próbując nie myśleć o mężczyźnie, który potrafił jednym zdaniem wzbudzić we mnie jednocześnie ciekawość i ostrożność.

Najgorsze było to, że chciałam poznać odpowiedzi na pytania, których jeszcze nawet nie umiałam sformułować.

Rozdział 2 - Godzina bez obowiązków

W poniedziałek rano obudziłam się z przekonaniem, że sen powinien podlegać zasadom reklamacji.

Przez większą część nocy śniły mi się formularze pozbawione rubryk, listy kandydatów bez nazwisk i Patryk Jeż, który stał po drugiej stronie długiego stołu, cierpliwie czekając, aż znajdę rozwiązanie. Nie dotykał mnie nawet we śnie. Wystarczało, że patrzył w sposób, który sprawiał, że wszystkie moje starannie przygotowane argumenty traciły kolejność.

O siódmej zadzwoniła Marta.

— Jak randka?

— To nie była randka.

— W takim razie opowiedz o spotkaniu biznesowym, po którym wczoraj przez czterdzieści minut analizowałaś sposób, w jaki mężczyzna wymawia twoje imię.

— Rozmawiałyśmy również o regulaminie.

— Przez trzy minuty.

Przytrzymałam telefon ramieniem i nalałam sobie kawy.

— Patryk jest organizatorem festiwalu, który potrzebuje specjalistycznej pomocy. Ja mam firmę. On ma problem. To wszystko.

— A książka?

Spojrzałam na cienki tom leżący obok łóżka. Przeczytałam go poprzedniego wieczoru niemal w całości, chociaż planowałam tylko pierwsze opowiadanie.

— Dobra.

— Melania.

— Bardzo dobra.

— Nie pytałam o książkę.

Westchnęłam.

— On jest interesujący. To nie znaczy, że zamierzam z nim robić cokolwiek poza pracą.

Marta przez chwilę milczała.

— Wiesz, czego najbardziej nie lubię w twoim sposobie planowania życia?

— Tego, że zwykle działa?

— Tego, że uznajesz każde nieprzewidziane uczucie za błąd w harmonogramie.

Nie odpowiedziałam, ponieważ miałam przed sobą ważniejszą rozmowę i nie zamierzałam zaczynać dnia od przyznawania jej racji.

Spotkanie z Fundacją Nowe Głosy odbyło się zdalnie o dziesiątej. Pani Elżbieta i dwóch członków zespołu przedstawili mi zakres prac, oczekiwania oraz planowany budżet. Po godzinie miałam poczucie, że rozmawiam z ludźmi, którzy naprawdę chcą uporządkować swój program, a nie jedynie zdobyć podpis specjalistki pod gotową decyzją.

— Zależy nam na dostępności przez najbliższe sześć tygodni — powiedziała pani Elżbieta. — Nie w pełnym wymiarze, ale z możliwością szybkich konsultacji.

Zanotowałam termin.

Sześć tygodni.

Dokładnie tyle, ile mógł potrwać projekt lubelskiego festiwalu, jeśli zdecydowalibyśmy się wznowić nabór.

— Mogę zagwarantować określone dni konsultacyjne i terminy odpowiedzi — zaproponowałam. — Nie obiecuję natomiast stałej dostępności telefonicznej.

— Bardzo nam to odpowiada.

Kiedy zakończyłam spotkanie, poczułam znajomą satysfakcję. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie odważyłabym się tak spokojnie stawiać warunków. W agencji nauczyłam się, że klient ma zawsze pierwszeństwo, nawet przed snem, zdrowiem i własnym życiem. Teraz po raz pierwszy mogłam powiedzieć: moja praca jest wartościowa, ale nie należy do nikogo bez ograniczeń.

O jedenastej trzydzieści dostałam od Patryka wiadomość z kompletem dokumentów organizacyjnych.

Tym razem były uporządkowane, opisane i ponumerowane.

„Iga zrobiła porządek w folderach. Jeśli czegoś brakuje, daj znać. Bez presji na odpowiedź dzisiaj".

Uśmiechnęłam się do ekranu.

Patryk słuchał.

Nie tylko tego, co mówiłam o procedurach. Również tego, co mówiłam o swoim czasie.

Odpisałam, że przejrzę dokumenty po zakończeniu pracy dla fundacji.

Dopiero po południu otworzyłam przesłany folder.

Wśród umów partnerskich, harmonogramów i formularzy znalazłam tabelę opisującą role poszczególnych osób w komisji konkursowej. Patryk figurował jako koordynator organizacyjny, bez formalnego prawa głosu. To było rozsądne rozwiązanie, choć nie wystarczało, jeśli wcześniej próbował wpływać na wybór kandydatów.

Zauważyłam również, że dokument dotyczący kontaktów z autorami zawierał rubrykę „konsultacje indywidualne", ale nie wyjaśniał, kto miał do nich dostęp.

Zapisałam pytanie na marginesie.

Nie chciałam wyciągać pochopnych wniosków. W konkursach literackich kontakty między organizatorami a uczestnikami nie należały do rzadkości. Ważne było to, czy dawały komuś przewagę.

Po godzinie miałam przygotowany projekt warunków współpracy.

Wysłałam Patrykowi propozycję obejmującą audyt, opracowanie procedury naprawczej i konsultacje z komisją, ale również kilka punktów, które uznałam za nienegocjowalne: niezależność mojej opinii, pełny dostęp do dokumentów dotyczących naboru, pisemne zatwierdzanie zmian oraz brak możliwości wprowadzania wyjątków dla wskazanych osób.

Odpisał po dwudziestu minutach.

„Warunki są jasne. Mam jedno pytanie. Czy możemy omówić je osobiście jutro po siedemnastej?"

Zawahałam się.

„W biurze festiwalu?"

„Najpierw tak. Potem, jeśli będziesz miała ochotę, chciałbym pokazać ci miejsce, do którego chodzę, kiedy potrzebuję przypomnieć sobie, że istnieje życie poza harmonogramem".

Przeczytałam wiadomość, czując, jak na twarzy pojawia mi się uśmiech.

„To część negocjacji?"

„Nie. To propozycja bez zobowiązań”.

Odpisałam dopiero po kilku minutach.

„Możemy omówić umowę o siedemnastej. Resztę zdecyduję na miejscu”.

„Uczciwie”.

We wtorek przyszłam do biura festiwalu z wydrukowaną umową i postanowieniem, że nie pozwolę, aby cokolwiek prywatnego wpłynęło na zawodową ocenę sytuacji.

Patryk czekał przy stole, tym razem w ciemnej koszuli. Wyglądał na wyspanego, co uznałam za niemal podejrzane.

— Mam dobrą wiadomość — powiedział na powitanie. — Partnerzy zgodzili się rozważyć przedłużenie naboru.

— Rozważyć czy zatwierdzić?

— Wiedziałem, że zapytasz.

— To zasadnicza różnica.

— Na razie rozważyć. Ale przestali twierdzić, że harmonogram jest święty.

Usiedliśmy przy stole. Rozmowa przebiegała rzeczowo, choć kilka razy dostrzegłam, że Patryk powstrzymuje uśmiech, kiedy zadaję pytania.

— Co cię tak bawi? — zapytałam w końcu.

— To, że zanim zdążę zaproponować rozwiązanie, ty już wiesz, gdzie mogłoby się zepsuć.

— Ktoś musi.

— I jesteś w tym bardzo dobra.

Powiedział to zwyczajnie, niemal mimochodem.

Zaskoczyło mnie, jak dużą przyjemność sprawiło mi to zdanie.